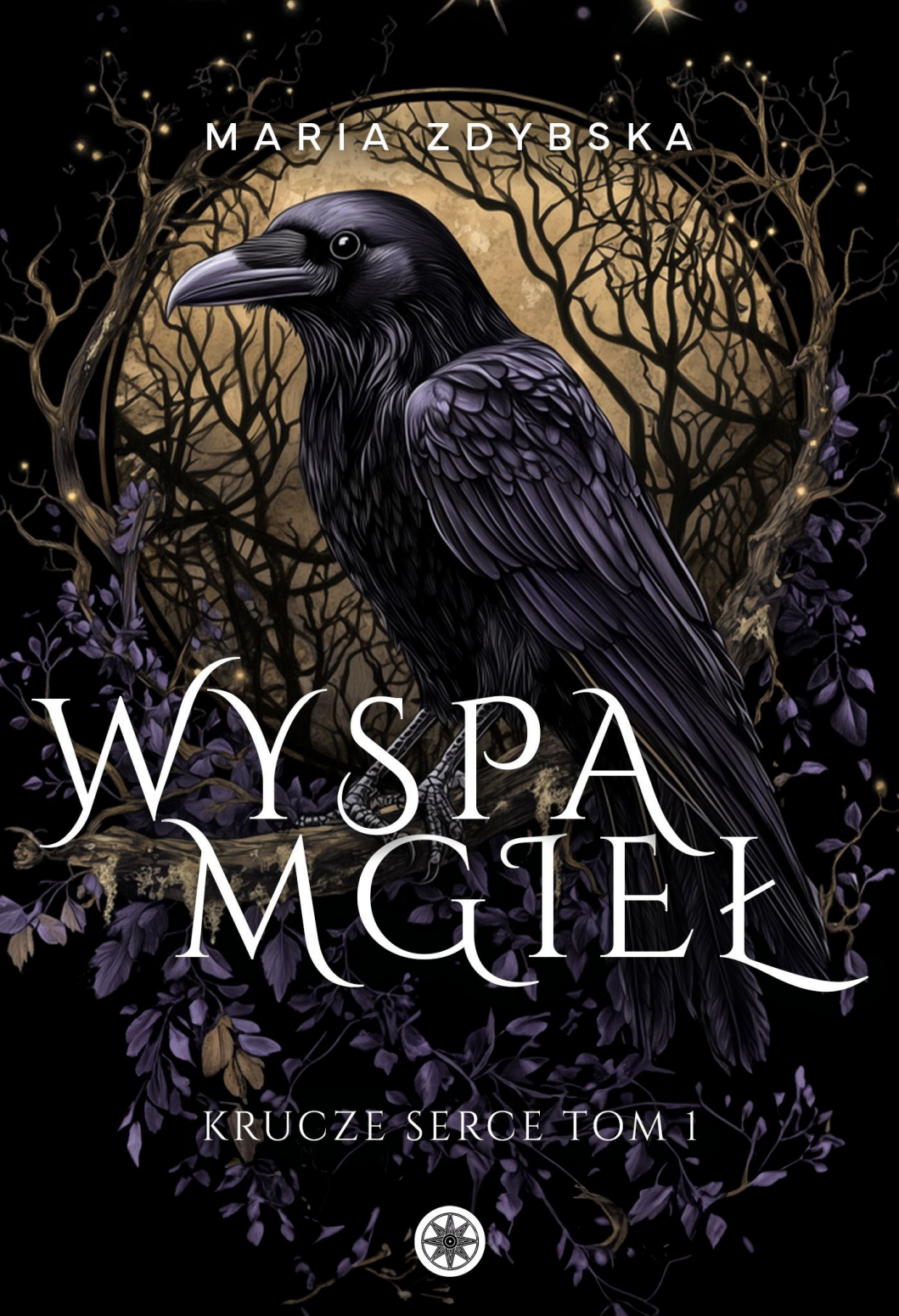
MARIA ZDYBSKA
WYSPA MGIEŁ
KRUCZE SERCE TOM 1

MARIA ZDYBSKA

WYSPA MGIEŁ

KRUCZE SERCE, TOM I

Wyspy Długiej Nocy
Eigyr
Ocean Północny
Wyspa Mgieł
Ysborg
Puszcza Gundaar
Syreni Przylądek
Baer Rydd
Rzeka Ys
Wybrzeże Snów
Góry Srebrne
Rzeka Faeris
Faerisport
Skaadar
Torfowiska
Solna Rzeka
Bes
Myre
Triskeborg
Wrzosowe Pustkowia
Solne Pustkowia
Półwysep Ibelin
Vidago
Itis
Braviken
Chram Trzeh Zórz
Milczący Las
Jezioro Cieni
Nyrna
Yantra
Siryn
Wyspy Tysiąca Róż
Vanir
Daxos
An-Nar
Złote Morze
Landra
Nakkani
Wyspy Tysiąca Westchnień
Ocean Południowy
Metis
N
W
E
S
Mapa Wielkiej Ziemi

Dla Marka

PROLOG

Niebo miało kolor indygo. Zupełnie jak morze, które tak kochała. Czasami, patrząc z tej perspektywy, nie była nawet pewna, czy to jego głębina odbija się na nieboskłonie, czy też odwrotnie – to wody pełnią rolę lustra, w którym przeglądają się przestworza.

Zadarła głowę, wpatrując się w migotliwą granicę pomiędzy sferami. Delikatne prążki płynnego srebra raz po raz przebiegały po coraz bardziej niespokojnej powierzchni, jak struny instrumentu wprawiane w ruch przez palce wprawnego muzyka. Powyżej, czarne błyszczące kłęby chmur pęczniały i wybuchały, rozpadając się w miliony błyszczących pereł z narastającym szumem miażdżącej płuca wody. Zamrugała powoli, z trudem, walcząc ze słonym, piekącym uściskiem głębiny. Niebo zafalowało, szum żywiołów zaczął się niepokojąco wzmagać. Wyciągnęła przed siebie rękę, przyglądając się jej ze zdziwieniem. Była blada, szklista, jakby niewyraźna i obca. Potrząsnęła głową, spróbowała rozejrzeć się dookoła i poczuła, jak pukle włosów unoszą się powoli coraz wyżej i wyżej wokół jej twarzy, zasłaniając oczy i oplątując usta.

Tonęła? Czy może dryfowała w przestworzach? Tak trudno było rozdzielić te uczucia.

Za sobą dostrzegła tylko czarną otchłań, unoszącą się nieśpiesznie w rytmie uśpionego oddechu jakieś mrocznej i niebezpiecznej istoty. Morska głębia, znajoma i kojąca, wzywała ją, szepcząc czułe obietnice wiecznego odpoczynku. Za to niebo nad głową kłębiło

się w rosnącym szale, wirowało, huczało. Sztorm szybko nabierał rozpędu. Świat zadrżał pod jego wściekłością, zakołysał się groźnie, indygo zmieniło się w błyszczący obsydian, srebrne pręgi spienionej wody przeistoczyły się w fale ciężkiego ołowiu, tchnienie wiatru stało się wściekłym, wilczym wyciem. Wydawało się jej, że wysoko, wysoko nad głową rozlega się ostrzegawcze krucze krakanie. Jej serce ścisnął strach. To zły omen. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, krzyknąć, wezwać pomocy, ale głos uwiązł jej w gardle, zachłysnęła się coraz szybciej wibrującym płynnym srebrem, które bez ostrzeżenia wypełniło wszystko wokół.

Poczuła nagle ostry ból i brutalne szarpnięcie. Coś ciągnęło ją w górę, w stronę coraz głośniejszego huku, w stronę szaleńczo falującego nieba. Potężna siła wyrywała ją z opiekuńczych morskich głębin, zostawiając na łasce rozszalałego sztormu.

Pierwszy gwałtowny oddech wdarł się w jej płuca z rozrywającym bólem. Lodowato zimne strugi wody bezlitośnie smagały jej twarz. Zacisnęła z całych sił powieki, starając się uspokoić, skupić się na czymkolwiek, ale w głowie miała tylko pustkę.

– Wyrzucić to diabelstwo z powrotem za burtę! – Głos był niski i chrapliwy, dochodził gdzieś z góry. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła kilka nachylających się nad nią w ciemności postaci. Ryczące morze wściekle kołatało o burty żaglowca.

– To zły omen – warknął drugi głos, niższy, z dziwnym akcentem. Jego właściciel o ogorzałej od morskiego wiatru twarzy miał duży złoty kolczyk w nosie i tylko jedno ucho. Splunął zamaszyście i szturchnął dziewczynę z odrazą końcem mokrego buta. Wicher zawył i mocno szarpnął tkaniną żagla.

– Przeklęty północny wiatr… – Trzecia postać, niższa i zakapturzona, wydawała się nie mieć twarzy, wyzierające spod poszarpanych chmur mdłe światło księżyca oświetlało tylko kościsty profil o wydatnym nosie. Wiatr targał napiętymi do granic możliwości linami. Zimny deszcz zacinał niemiłosiernie, niosąc ze

sobą zapach jodu i wodorostów.

– Bzdura! – Ostatni głos był ostry jak brzytwa i dźwięczała w nim nuta niekwestionowanego autorytetu. – To tylko ledwie żywe dziecko! Jak nam tu umrze, bogowie z pewnością nie będą zadowoleni! – Zaklął w obcym języku i pociągnął łyk rumu z butelki. Łysa czaszka była pokryta misternie wykonanym tatuażem, wyobrażającym różę wiatrów. – Jorg! Zabierz ją do mojej kajuty i opatrz rany.

– Tak jest, kapitanie!

Jakieś szorstkie ręce bez ostrzeżenia podniosły dziewczynę brutalnie do góry. Jej ciało wydawało się dziwnie lekkie w swoim bezwładzie, a chłód morskiej wody, przenikający ją nadal do szpiku kości, sprawiał, że czuła się całkowicie obojętna na wszystko.

– Jak się nazywasz? – zapytał potem łagodnie Jorg, bandażując jej ramię.

Pustka…

– Skąd się tu wzięłaś, w środku sztormu?

Skąd…?

Myśli przychodziły do niej i zaraz umykały jak stado przepłoszonych przez drapieżnika młodych rybek. Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Nie była nawet pewna, czy jest w stanie mówić. W uszach nadal huczał jej wściekle wyjący wiatr, niosący stłumione nawoływanie kruka. Tęskniła za morzem. Za głębiną indygo. Nie powinno jej tu być. To zły omen… Zimne dreszcze, które wstrząsały całym jej ciałem, teraz wypełniły ją dławiącym strachem.

Jorg musiał coś dostrzec w jej oczach.

– Morze jest bezlitosne, mała, ale ostatecznie nic w nim nie ginie. – Zaśmiał się ponuro, obnażając kilka błyszczących złotem zębów. Na zewnątrz wiatr jęczał, uderzając w burty żaglowca potężnymi szkwałami, jakby chciał odzyskać to, co mu odebrano. – Wszystko sobie przypomnisz, jak tylko dojdziesz do siebie.

Kłamca.

ROZDZIAŁ I

MYŚLIWY I KRUK

„Jesteś martwy" – uświadomiła sobie z żalem, chociaż on najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeszcze nie teraz.

Jeleń spokojnie skubał trawę na skraju lasu. Raz po raz powoli, z gracją podnosił głowę w oprawie majestatycznych rogów. Lirr wydawało się chwilami, że zwierzę patrzy wprost na nich, gdy jego błyszczące czarne oczy z namysłem, choć bez paniki rozglądały się po okolicy. To było jednak tylko złudzenie. Wybrali świetną kryjówkę wśród ogromnych paproci, a delikatne tchnienie wiatru na twarzy przekonywało dziewczynę, że stoją po zawietrznej i rogacz ich nie wyczuł. Nie miał najmniejszych szans na ucieczkę. Znalazł się w potrzasku, a Lirr wiedziała aż nadto dobrze, jakie to uczucie.

„Jesteś martwy" – pomyślała znowu ze smutkiem, zaciskając nerwowo pięści. Nie chciała na to patrzeć. Już po raz setny tego ranka obiecała sobie w duchu nigdy więcej nie tknąć pieczeni z jelenia. Była tu tylko ze względu na Caela. Nie potrafiła mu odmówić. Jak zwykle.

Spojrzała z ukosa na księcia, nerwowo przełykając ślinę. Głębiej schował głowę w ramiona i niżej przyklęknął w paprociach, szukając lepszego podparcia do strzału. W jego skupionym wzroku, w oszczędnych ruchach, w delikatnych poruszeniach kości zaciśniętej szczęki była ta szczególna, wyuczona ostateczność, nieomylna zapowiedź tego, co miało się zaraz wydarzyć.

Odkąd mieszkała na stałym lądzie, wielokrotnie wybierała się z Caelem na polowania. Spędzając z nim każdą wolną chwilę, sama nauczyła się nieźle strzelać z łuku i kuszy, po kilku latach ćwiczeń przyzwoicie władała nawet mieczem, nigdy nie podzielała jednak myśliwskiej pasji przyjaciela. Broni powinno się używać w walce, powtarzał Hego. Wielogodzinne tropienie jelenia nie było w jej guście.

Zagryzła wargę, tłumiąc westchnienie, gdy promień słońca przebił się przez gęstwinę drzew i na moment rozświetlił ciemnozłote poroże. Jeleń wyglądał, jakby nosił koronę. Majestatyczny, dumny władca puszczy. Był zbyt wspaniały, zbyt niewinny, zbyt… myślący, by umrzeć. Potrząsnęła głową, oddalając od siebie te idiotyczne myśli. Przecież dorastając na pirackiej łajbie, widziała śmierć człowieka więcej razy, niż mogła to zliczyć, dlaczego więc wizja umierającego jelenia rozdzierała teraz jej serce?

„Być może życie na lądzie mnie zmiękczyło" – pomyślała, zła na samą siebie. W końcu to tylko zwierzę. Źródło mięsa, trofeum, nic więcej. Cael będzie zachwycony jego porożem i może chociaż na chwilę zapomni o chorobie Maeve. Mimo wszystko nie mogła zdobyć się na obojętność. Tutaj, w środku leśnych ostępów, czuła się jak intruz. Zdrajca z innego świata szykujący zamach na niewinną istotę.

Cael za to był w swoim żywiole. Bezszelestnie wyciągnął się w paprociach i przylgnął do ziemi, opierając twarz o pień zwalonego drzewa, pokryty miękkim mchem. Lirr kucała tak blisko, że czuła, jak on zastyga w bezruchu, skupiając się na celowniku kuszy. Las wstrzymał oddech, znieruchomiał w napięciu. Dziewczyna bezwiednie pochyliła się nieco do przodu i delikatnie dotknęła ramienia myśliwego.

„Uciekaj!" – pomyślała w duchu, zaciskając zęby, żeby się uspokoić. Rogacz spojrzał na nią, przysięgłaby, że mimo kryjówki wśród paproci dokładnie w tej chwili popatrzył jej prosto

w oczy i nagle przerwał spokojne przeżuwanie trawy. Lirr oderwała w końcu od niego wzrok i spojrzała nerwowo na plecy Caela, zastanawiając, się, jak bardzo będzie się wściekał, jeżeli jeleń z jej powodu się spłoszy. „Łajno wieloryba...!" – zaklęła w myślach. – „No dalej, to twoja ostatnia szansa!" – zaklinała gorączkowo rogacza.

Jeleń lekko drgnął, jakby w reakcji na nagły hałas, chociaż w lesie panowała przytłaczająca cisza. Spojrzał bokiem w stronę ich kryjówki i zastrzygł uszami. Chłopak bezszelestnie poprawił podparcie i zastygł w pozie strzelca. Dziewczyna zagryzła wargi, krew zaczęła głośno tętnić jej w uszach. „Teraz albo nigdy!" – przemknęło jej przez myśl, wyciągnęła powoli dłoń, zamierzając klepnąć Caela w ramię, pchnąć go, szarpnąć, zrobić cokolwiek, żeby wytrącić go z tego stanu koncentracji, ale zanim zdążyła, usłyszała nieoczekiwane poruszenie.

Zza pnia, na którym opierał się Cael, spomiędzy potężnych, cienistych paproci, wyłonił się ogromny kruk. Uderzenia rozłożystych skrzydeł szybko wzniosły go w górę z głośnym świstem poruszonego powietrza, rozchylając paprocie i mierzwiąc jasne, kręcone włosy księcia.

Kruk wydał z siebie przeszywający dźwięk i zaczął przebijać się pomiędzy plątaniną sosnowych gałęzi ku koronie drzew. Przenikające gdzieniegdzie pomiędzy konarami poranne promienie słońca wydobywały dziwne, kobaltowe refleksy na jego błyszczących piórach. Jeleń tylko przez ułamek sekundy obserwował ptaka, by po chwili rzucić się do ucieczki. W potężnych skokach szybko zniknął w zieleni lasu, która skryła go jak opuszczona raptownie ciężka, aksamitna zasłona.

Cael poderwał się z miejsca i z niedowierzaniem popatrzył na kruka, który usadowił się na gałęzi parę metrów nad nimi i przekrzywiając głowę, patrzył na nich z pogardą. Był potężny, większy nawet od skalnego orła, którego Cael kiedyś pokazał jej

podczas wyprawy w góry. Prawdziwa czarna bestia o ostrych szponach, które mogły z powodzeniem rozerwać ofiarę, i o imponującym, masywnym dziobie. Jedno błyszczące czarne oko mrugnęło porozumiewawczo. Lirr nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w tym spojrzeniu było coś złowieszczego.

– Cholerne ptaszysko! – rzucił Cael z furią przez zaciśnięte zęby. – Tyle godzin tropienia na nic. Zrobił to specjalnie!

– To zbieg okoliczności. – Uśmiechnęła się pojednawczo Lirr, choć w rzeczywistości musiała bardzo się postarać, żeby nie wybuchnąć szalonym śmiechem. Poczucie nagłej ulgi wyzwoliło w niej niemal euforyczną radość. Kiedy spojrzała ku górze, dostrzegła, że kruk obserwował ich z uwagą, przekrzywiając głowę z ciekawością. Podziękowała mu w duchu za nieoczekiwaną pomoc.

– Arrr! – skomentował takim tonem, jakby w istocie sobie z nich szydził.

W odpowiedzi Cael rzucił mu mordercze spojrzenie. Tylko przez chwilę wydawał się oszołomiony swoją nieoczekiwaną porażką, instynkt łowcy szybko przejął kontrolę nad umysłem. Znów zadarł głowę do góry i błyskawicznym ruchem podniósł kuszę, mrużąc jedno oko do strzału.

Bełt wyleciał w górę tak szybko, że Lirr nawet nie zdążyła uświadomić sobie, co się dzieje. Z głuchym dźwiękiem wbił się głęboko w pień sosny, milimetry od kruka, muskając przedtem koniec jego skrzydła. Jedno połyskujące na kobaltowo pióro wyrwane impetem, z jakim ptak poderwał się do ucieczki, spadło po chwili, obracając się spiralnie, i w końcu wylądowało miękko w zmierzwionych włosach Caela.

– Krrrr...! – podsumował kpiąco kruk, przestępując powoli z nogi na nogę na swojej nowej gałęzi i przechylając głowę to w prawo, to w lewo. Najwyraźniej zamiast uciekać, postanowił bezczelnie napawać się swoim zwycięstwem.

Lirr mogłaby przysiąc, że w jego oczach było coś z ironicznego uśmieszku. Czy kruk w ogóle może się uśmiechać? Ten najwyraźniej potrafił.

– Niech to szlag! – Caela ogarnęła prawdziwa wściekłość.

– Daj spokój. – Lirr potrząsnęła energicznie głową, znów z całej siły starając się nie roześmiać. Jej niepokorne włosy szczęśliwie ukryły rozbawienie.

– To był dziecinnie prosty strzał… – Nerwowo potarł czoło.

– To był wyjątkowy pech. – Lirr podeszła do niego bliżej.

– Pech… To też, bez wątpienia. Te ptaszyska zawsze zwiastują coś niedobrego. Ten tutaj jednak wyraźnie się na mnie uwziął, podły, czarny demon – jęknął nieszczęśliwy Cael. – Dawno nie widziałem takiego poroża – westchnął z utęsknieniem, patrząc w ślad za jeleniem, i zrezygnowany opuścił kuszę.

– A ja takiego kruka! – Zaśmiała się i delikatnie wyciągnęła pióro, które zaplątało mu się we włosach tuż nad prawym uchem. Uniosła je tuż przed oczami chłopaka, obracając w palcach, i odważnie spojrzała mu prosto w oczy, rzucając wyzwanie. – Oto twoje dzisiejsze trofeum.

Cael przyglądał mu się przez chwilę z grymasem, po czym szybkim ruchem złapał ją za nadgarstek, a drugą ręką wyciągnął pióro i niespodziewanie przesunął czarnym aksamitnym brzegiem po jej twarzy. Lirr poczuła skurcz w żołądku i ponowny przypływ adrenaliny. Stali teraz twarzą w twarz, zaledwie na odległość ramienia. Dziewczyna znieruchomiała, zupełnie jak jeleń przed chwilą, i zmrużyła oczy z lekkim niedowierzaniem.

„Odważ się" – zaklinała go w duchu. – „Pocałuj mnie wreszcie, idioto!".

Cael wydawał się poważny, ale w jego spojrzeniu jak zwykle tliło się coś na kształt stłumionego rozbawienia. Nienawidziła, gdy patrzył na nią w ten sposób, inaczej niż choćby na Annelli albo niektóre damy dworu czy nawet urodziwe kupieckie córki,

uparcie szukające jego uwagi. Nie mogła znieść, gdy w kącikach jego oczu pojawiały się te charakterystyczne, delikatne zmarszczki, zupełnie jakby nie brał jej na poważnie, jakby była dla niego na zawsze tylko niesfornym dzieckiem, egzotyczną towarzyszką zabaw, zamorskim dziwadłem, ale w każdym razie nikim, kto potrafiłby wzburzyć w nim krew i poruszyć serce. Nikim wystarczającym.

– No co? – Nie wytrzymała napiętej ciszy między nimi. Jej głos był zbyt stłumiony i zbyt wysoki, żeby brzmiał naturalnie. Bliskość Caela jak zwykle wywoływała lekki zamęt w jej głowie, a ona swoim zwyczajem maskowała zmieszanie pyszałkowatą brawurą. – Co cię tak śmieszy, mój książę?

– Nic takiego. – Oczy chłopaka dalej starały się poskromić łobuzerski uśmiech. Nie mogła tylko rozstrzygnąć, czy jej zmieszanie go cieszy, czy raczej bawi.

Jak zahipnotyzowana pochyliła się lekko w jego kierunku, w stronę szafirowych tęczówek, zapraszających ust, opalonej twarzy i rozjaśnionych letnim słońcem włosów, które tak dobrze znała. „No dalej" – namawiała w duchu i jego, i siebie. – „Do stu tysięcy...".

– Zastanawiam się po prostu, co matka powie, widząc kolejną wyjątkową ozdobę w twoich pięknych włosach – podjął po chwili, nie przestając kpiąco się uśmiechać.

Lirr natychmiast spochmurniała.

– Drwisz ze mnie?

Poczuła, że jej policzki płoną od uderzenia gorąca, za to uśmiech Caela zrobił się jeszcze szerszy.

– Ależ skąd, bardzo lubię twoją fryzurę, może ten kruk po prostu zamierzał uwić sobie w niej gniazdo?

Delikatnie pociągnął za jeden z jej warkoczyków, a potem bezceremonialnie wetknął pióro we włosy tuż nad jej uchem. Podniósł kuszę i ruszył przed siebie, ku miastu, zostawiając oniemiałą

Lirr za plecami. – Dobrze, że mamy chociaż kuropatwy – rzucił przez ramię. Z głosu znikł zupełnie prześmiewczy uśmiech, który jeszcze przed chwilą tak ją zirytował.

Lirr westchnęła w duchu i z pewnym ociąganiem ruszyła za nim. Znowu przed nią uciekał. Znowu dała się podejść. Kopnęła najbliższy polny kamień, obiecując sobie po raz setny, że następnym razem sama go po prostu pocałuje, niech no tylko wszystko się uspokoi, niech on tylko przestanie być taki nieobecny, niech wszystko przestanie się kręcić wokół Maeve.

Przyjaźniła się z Caelem niemal od pierwszej chwili, gdy znalazła się w Ysborgu. To dzięki niemu, mimo okoliczności, zamek nie wydawał się jej więzieniem, oczywiście wyłączając chwile, gdy zachowanie matki księcia boleśnie przypominało o tym, że nie jest to jej prawdziwy dom.

To on nauczył ją życia na stałym lądzie, pokazał ulotne piękno budzącego się o świcie lasu, surowy majestat niedostępnych górskich grani, jeziora o wodzie mroźnej i przejrzystej, ukryte w zielonej gęstwinie, niektóre ciemne jak noc podczas nowiu, inne błękitne jak niebo, które się w nich przeglądało. To z nim pierwszy raz odważyła się wyruszyć tak daleko w głąb lądu, że straciła z oczu uspokajający widok morza na horyzoncie, to przy nim pierwszy raz spędziła noc w leśnej głuszy.

Nie pamiętała nawet, kiedy zaczęła zasypiać z myślą o nim i wstawać z nadzieją na kolejne spotkanie, od jak dawna każda chwila sam na sam zaczęła w niej budzić nieznaną dotąd nieśmiałość, od kiedy nerwowo spuszczała wzrok i czerwieniła się za każdym razem, gdy był zbyt blisko.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o jego intensywnym spojrzeniu, po chwili jednak westchnęła. Kolejny kamień, który napatoczył się pod nogi, pofrunął z imponującą prędkością w stronę ciemnej ściany lasu. Cael nie zareagował, krocząc miarowo niemal niewidoczną ścieżką wśród kwitnących łąk. Był tak blisko,

a jednak nadal kompletnie poza zasięgiem. Nienawidziła tej bezsilności. Nie przywykła do trzepotania rzęsami i oblewania się rumieńcem. Czuła się idiotycznie. Wolała czasy, gdy kradli Rosmercie z kuchni jeszcze gorące miodowe ciastka i rzucali kamieniami w mewy, bujające się na masztach stojących w porcie statków. Wtedy wszystko było prostsze.

Cael wydawał się zupełnie nie zauważać uczuć, które powoli, coraz bardziej przejmowały nad nią kontrolę. Być może w końcu zdał sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy była tylko zakładniczką w zamku, gwarancją wzajemnych interesów jego matki – księżnej Ysborga – i jej przybranego ojca, wpływowego korsarza Hego. Zagryzła wargi w bezsilnej irytacji. Zamierzała w końcu zapytać o jego uczucia wprost, bez ogródek i uników. Może nawet wziąć nóż i zmusić, żeby ją pokochał. Dlaczego nie? Uśmiechnęła się do tej kuszącej wizji. W końcu wychowali ją piraci, miała więc prawo chociaż od czasu do czasu zachowywać się jak jedna z nich. Maeve i tak miała ją za nieokrzesaną dzikuskę.

Na razie jednak zamiast tego szła za nim posłusznie, nie odzywając się nawet słowem, wściekła na swój los, wściekła na jelenia, na kruka, na Caela i na siebie. Czemu obecność księcia zawsze czyniła z niej taką nieśmiałą owieczkę? Hego z pewnością miałby z niej niezły ubaw. Brakowało jej tylko jednej z tych idiotycznych kokard, jakie nosiła Annelli, wystudiowanych uśmiechów i precyzyjnych dygnięć.

Lirr patrzyła w roztargnieniu na kołyszące się miarowo w rytm kroków kuropatwy, przerzucone przez plecy Caela. Gdy dostrzegła przed sobą kolejny potężny, błyszczący skalny odłamek, zamachnęła się na niego z pasją, wkładając w kopnięcie całą stłumioną agresję. Zielony kształt był dziwnie miękki, a przy zderzeniu zarechotał boleśnie. Ogromna ropucha poszybowała nad ścieżką, o włos mijając zamyślonego księcia. Nawet oburzony skrzek nie zwrócił jego uwagi.

„To zły omen!" – pomyślała, tłumiąc nerwowe drżenie serca.

ROZDZIAŁ 2

PRAGNIENIA I NADZIEJE

Po godzinnym milczącym marszu dotarli na rozległą polanę kwitnącą drobnymi, żółtymi kwiatami. Czasami zatrzymywali się tu na popas, bo koniom wydawały się one wyjątkowo smakować, dziś wybrali się jednak pieszo. Za plecami zostawili masywne szczyty Gór Srebrnych, a przed nimi roztaczał się wspaniały widok na Ysborg i połyskujące w dali morze. Kiedyś Lirr widziała tu tańczące w podnoszącej się porannej mgle zielonowłose driady. Zanim zdążyła wskazać je Caelowi, rozpłynęły się w promieniach wstającego słońca jak ulatujące senne wspomnienie. Oczywiście nie chciał jej wtedy uwierzyć. Teraz rozejrzała się badawczo wokół z cichą nadzieją, że znowu je spotka. Tym razem byli jednak na polanie zupełnie sami.

Z tej perspektywy miasto widać było jak na dłoni. Wyniosłe, eleganckie siedziby arystokratycznych rodów wzniesione przed wiekami ze srebrnobiałego kamienia mieniły się w słońcu ozdobnymi witrażami, kontrastując z chaotyczną dzielnicą kupieckich magazynów poprzecinaną przez wijące się jak kolorowe węże długie rzędy handlowych stoisk oferujących sprowadzane z najodleglejszych krain towary. Jeszcze dalej południowe mury miasta wielobarwnym pasmem okalały ciągle rozrastające się podzamcze. Od północy górujący nad miastem ufortyfikowany zamek o czterech strzelistych wieżach sąsiadował z ruchliwym portem, który był głównym źródłem obecnej potęgi i bogactwa Ysborga. Jeszcze dalej,

na wschodzie, wśród ciemnych fal migotały dziesiątki skalistych wysepek rozrzuconych u ujścia szeroko rozlanej rzeki Ys.

Lirr znała topografię miasta na pamięć, ale i tak odruchowo sięgnęła po niewielką mosiężną lunetę, która dyndała dotąd bezpiecznie przytroczona do pasa. Wygrała ją kiedyś w kości od kwatermistrza Płonącej Wiedźmy w Pawim Pałacu w Vidago i postanowiła zatrzymać dla siebie. Luneta była stara, nieco krzywa i wyglądała, jakby uczestniczyła w niejednym krwawym abordażu, przypominając tym swojego poprzedniego właściciela, ale nadal spełniała swoją funkcję. Z takiej odległości przymglona soczewka pozwoliła dostrzec jedynie niewyraźne sylwetki statków wpływających i wypływających z portu. Lirr westchnęła smętnie. Nawet gdyby mogła rozpoznać kolor takielunku, nie spodziewałaby się purpurowych żagli Hego. Wiedziała, że o tej porze roku raczej nie zawijał do Ysborga, ale i tak pozwoliła sobie nieśmiało na to liczyć. Tęskniła za nim i nie mogła doczekać się spotkania.

– Nie mam jeszcze ochoty wracać. Usiądziemy? – Cael wykonał niedbały gest w kierunku samotnego starego dębu, pod którym zwykle spędzali czas na rozmowach, oprawianiu upolowanych zwierząt i obserwowaniu miasta w dali.

Lirr skinęła lekko głową i uśmiechnęła się, wracając myślą do tych wszystkich beztroskich chwil, z jakimi kojarzyło jej się to miejsce. Rzuciła na ziemię bukiet pomieszanych ziół, które z nudów pozbierała po drodze i zajęła swoje miejsce pod drzewem.

Odkąd zachorowała matka Caela, chłopak traktował polowania jak rodzaj uspokajającego rytuału, w którym Lirr solidarnie, choć bez entuzjazmu brała udział. Coś też zmieniło się między nimi; choć każdego dnia spędzali razem kilka godzin, rozmawiali mało, a książę nabrał nawyku nagłego przerywania rozmowy i pogrążania się we własnych myślach. Z dnia na dzień ich relacje stawały coraz mniej swobodne, a on coraz częściej zamykał się w sobie. Im dłużej milczał, tym bardziej stawał się dla niej obcy,

tym bardziej ponury wydawał jej się zamek Ysborg i tym mocniej tęskniła za morzem.

Przez dłuższą chwilę po prostu patrzyli przed siebie. Dziewczyna objęła ramionami kolana i oparła na nich podbródek. Cael wziął do ust długie źdźbło trawy i żuł je, patrząc w dal nieobecnym wzrokiem.

– Dziś do matki przyjedzie medyk z Południa.

Lirr podniosła brwi w niemym pytaniu.

– Nasi uzdrowiciele nie są w stanie jej pomóc, poza... uśmierzaniem bólu. – Wypowiedział te słowa niemal beznamiętnie, ale Lirr dostrzegła kątem oka nerwowy ruch jego dolnej szczęki.

– Posłuchaj, Cael... wiem, że... wiesz, ale pamiętaj, że jeżeli mogę cokolwiek dla ciebie... dla niej..... zrobić, wystarczy żebyś... – wyjąkała bezradnie. – Nie mogę znieść tego, jak cierpisz.

Spuściła wzrok. Nie była w stanie teraz na niego patrzeć. Nie chciała kłamać, nie w ten sposób, nie w tej sprawie! Nigdy nie lubiła – ze zwielokrotnioną wzajemnością zresztą – księżnej Maeve, stąd obecny stan matki Caela zdrowia nie wzbudzał w niej większych emocji poza łagodnym współczuciem, jakie odczuwa się w stosunku do bliżej nieznanych nam osób, kiedy znajdują się w trudnej sytuacji. Zresztą, kogo ona oszukiwała. To, czy Maeve przeżyje, interesowało ją wyłącznie ze względu na Caela. Zrobiłaby wszystko, żeby przywrócić mu radość życia. Wszystko! Reszta nie miała znaczenia.

– Chciałbym, żeby to było takie proste. Niestety nic nie możesz zrobić. Ani ty, ani ja..... Żadne z nas nie ma takiej mocy. Obydwoje jesteśmy całkowicie bezużyteczni... To jest najgorsze w całej tej sytuacji. Ta..... bezsilność. Ona powoli umiera, a ja tropię jelenia..... – Cael znów patrzył w dal, jakby obserwował jeden ze statków w porcie. Lirr mocniej ścisnęła kolana i pozwoliła swoim niesfornym włosom, pozaplatanym gdzieniegdzie w cienkie warkoczyki, opaść na twarz, chowając ją przed jego

wzrokiem. Bezwiednie wzięła znów do ręki pióro kruka i obróciwszy je wielokrotnie w palcach, wpięła w koniec jednego ze swoich warkoczyków, w których były już białe muszle, turkusowe koraliki i kawałki wstążek. Odkąd przygarnęli ją piraci, właśnie w ten sposób ozdabiała swoje włosy i pomimo czteroletniego pobytu w zamku uparcie nie dostosowywała się do tutejszych kanonów mody.

– Ten..... medyk..... Co to za człowiek? – zapytała po chwili, bo coś nie dawało jej spokoju. Tajemnicze umiejętności medyków stawiały ich niebezpiecznie blisko magów, a Ysborg od dawna odrzucał wszystko, co choć trochę śmierdziało ciemnymi mocami.

– Nazywa się Viorel, jest... czy raczej był zaufanym uzdrowicielem króla Daxos, pochodzi z Ognistej Ziemi An-Nar. – Cael lekko się skrzywił przy ostatnich słowach.

– I Maeve zgodziła się skorzystać z jego usług? – Lirr nie mogła w to uwierzyć. Księstwo Ysborg ze swoim potężnym portem i całą armią sprzymierzonych korsarzy od zawsze miało ambicje zdobycia hegemonii na północnych i zachodnich wybrzeżach Wielkiej Ziemi, a jego stosunki z potężnym Południem, choć dyplomatycznie poprawne, podszyte były głęboką niechęcią.

– Nie jest członkiem dworu, nie wiąże go lojalność wobec korony, wywodzi się podobno z jednego z pustynnych plemion..... No i jest do wynajęcia. – Cael obojętnie wzruszył ramionami i przesunął źdźbło trawy do drugiego kącika ust. Lirr znała go jednak zbyt dobrze, żeby nie zauważyć, że ten zdystansowany spokój to tylko poza. Martwił się o matkę i prawdopodobnie miał najgorsze przeczucia.

– Lirr... – podjął po chwili, prawie przepraszająco. – Musisz wiedzieć, że matka jest zdesperowana... Obydwoje jesteśmy. Jeżeli więc istnieje jakikolwiek sposób na jej uzdrowienie... – Przeczesał nerwowo włosy, uciekając wzrokiem. – Jeśli jest na to choćby cień szansy, to naprawdę nie obchodzą mnie ani przeszłość tego

człowieka, ani jego metody. Chcę tylko, żeby ktoś jej pomógł, rozumiesz?

Dziewczyna przytaknęła, przełykając ciężko ślinę.

– Musisz być dobrej myśli – oznajmiła, ze wszystkich sił starając się brzmieć uspokajająco. – Hego mówił mi kiedyś, że ci medycy z Południa potrafią zdziałać cuda. – Wbrew sobie uśmiechnęła się szeroko, starając się zagłuszyć wewnętrzny niepokój. Nie dodała jednak, że Hego mówił też o wysokiej cenie za ich usługi. Podobno rzadko jest wyrażona tylko w pieniądzu i bezpieczniej od razu obcinać tym szarlatanom języki, żeby nie dać się omamić ich plugawym sztuczkom.

Cael nie odpowiedział, nawet nie skinął głową, po prostu wpatrywał się uparcie w jakiś punkt w dali. Widoczna z bliska delikatna opuchlizna i drobne zmarszczki wokół oczu zdradzały dziesiątki nieprzespanych nocy. Zwykle wesoły i pełen energii, teraz w ogóle nie przypominał dawnego siebie. Przygarbiony, zmęczony, oddalał się od niej z każdym dniem, odpychał ją, pogrążając się we własnym smutku. Lirr spojrzała w górę, powstrzymując mruganiem podejrzaną wilgoć na rzęsach. Po dłuższej chwili milczenia chłopak powoli podniósł się z trawy.

– Czas wracać – stwierdził krótko. – Rosmerta nie dostanie jelenia, ale może pan medyk nie pogardzi kuropatwami – dodał z wymuszonym humorem.

– Tak... Chodźmy. – Lirr wyprostowała się i przeciągnęła leniwie jak kot. – Oby tylko znów nie kazali mi się ubierać w jedną z tym okropnych sukni. – Rzuciła mu ironiczny półuśmiech, starając się rozładować napiętą atmosferę.

Cael zaśmiał się kpiąco i szturchnął ją łokciem w bok. Zaskoczona Lirr straciła równowagę i lekko zachwiała się na nogach, lecz on zdołał szybko złapać ją w talii.

– No wiesz, czasami mogłabyś wyglądać jak dziewczyna. – Zauważył, taksując ją śmiałym wzrokiem od znoszonych,

sznurowanych myśliwskich butów po zmierzwione wiatrem czarne włosy.

Zamarła. Nagle zrobiło się duszno, bardzo duszno, parno i gorąco, zupełnie jakby ktoś podpalił las wokół nich. Dotyk jego dłoni na jej talii wyzwolił przyjemne drżenie, przechodzące gwałtownymi falami przez całe ciało. Lirr poczuła, jak oddech przyspiesza i przez chwilę patrzyła na Caela w niemym zdumieniu. Książę otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale w końcu rozmyślił się i przez chwilę po prostu milczał, przypatrując się jej pochmurnie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Ciekawe, jak miałabym dotrzymać ci kroku na polowaniu, biegając w atłasowych trzewikach! – Ocknęła się i szarpnęła się nerwowo, starając się wyzwolić z jego uścisku, uciekając wzrokiem.– I jak poradziłbyś sobie beze mnie w starciu z kolejnym demonicznym krukiem, hm?

Cael parksnął stłumionym śmiechem, nadal trzymał ją jednak blisko przy sobie, zbyt blisko, żeby mogła odetchnąć, zbyt mocno, żeby mogła odzyskać jasność myśli.

– Masz rację. Potrzebuję cię. – Jego szept był ledwie słyszalny, jego słowa tak ciche, że musiała sama się przekonywać, czy się nie przesłyszała. Tym razem na twarzy nie było nawet cienia lekceważącego uśmieszku.

– Zwłaszcza teraz. Bądź na dzisiejszej uczcie – dodał po chwili już głośniej, pewniej. – Chcę wiedzieć, co sądzisz o tym człowieku.

ROZDZIAŁ 3

PIÓRO I PRZEZNACZENIE

– Znowu ptactwo? – Ochmistrzyni skrzywiła się na widok niezbyt tłustej zdobyczy, którą Lirr wręczyła jej z triumfalnym uśmiechem.

– Jeleniowi udało się uciec. – Wzruszyła ramionami i usiadła na potężnym stole, machając wesoło nogami. Nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

– Udało się? – Rosmerta jak zwykle była bardziej spostrzegawcza, niż mogłoby się wydawać. Z westchnieniem rzuciła kuropatwy na solidny dębowy blat i ruchem podbródka wskazała je jednej z kucharek, niemal natychmiast wracając wzrokiem do Lirr. Bystre szare oczy przyglądały się dziewczynie z niepokojącą wnikliwością.

– Chyba nie jesteś zbyt zmartwiona? – stwierdziła raczej, niż zapytała, krzyżując ramiona na piersi.

Lirr uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi i złapała zwinnie miskę z nasączonymi rumem rodzynkami. Rosmerta zmarszczyła groźnie czoło.

– No cóż, wygląda na to, że księżna nie dostanie swojej ulubionej pieczeni z jelenia. – Westchnęła, wciąż przypatrując się podejrzliwie dziewczynie.

– Będzie musiała jakoś to przeboleć. – Lirr starała się udać smutną minę, ale utrudniał jej to niebiański smak rumowych rodzynków. – Też uważam, że jeleń zachował się doprawdy bezczelnie, uciekając. Łajdak! Każde porządne zwierzę na jego miejscu byłoby

wdzięczne bogom za możliwość skonania tylko po to, żeby sprawić przyjemność pani Ysborga.

Rosmerta zamachnęła się na nią brudną kuchenną ścierką, ale nie zdołała ukryć rozbawienia.

– Cicho, bo napytasz sobie biedy – upomniała ją przyciszonym głosem, wskazując porozumiewawczo podbródkiem skubiącą kuropatwy kucharkę. – I zrób coś z tymi włosami, lepiej, żeby księżna nie widziała cię w takim stanie.

Lirr z przekorą i dumą przesunęła palcami po splątanych puklach. W kwestii fryzury nie było mowy o kompromisach. Sabade, czarnoskóry bosman na Zielonej Harpii, wierzył, że to we włosach mieszkają wspomnienia człowieka i zawsze podejrzliwie patrzył na ogoloną czaszkę Hego. Nawet jeżeli przesadzał, mała piratka nauczyła się od niego traktować własne włosy jak świętość, osobisty zbiór pamiątek i kolekcję ważnych chwil, skarbnicę wspomnień.

– Pytała o mnie? – zagadnęła Lirr. Rosmerta łypnęła na nią zniesmaczona.

– Owszem.

– Chyba nie powiedziałaś jej, że…

– Że znowu włóczysz się po lesie sam na sam z księciem Caelem? – fuknęła, unosząc gniewnie brwi. – Oczywiście, że nie, i tak jest dziś dostatecznie zdenerwowana. Przyjmujemy na zamku ważnego gościa, a ty masz się odpowiednio zaprezentować.

– Tego uzdrowiciela z An-Nar? Nie może być szczególnie ważny, skoro Maeve nie obawia się, że ją ośmieszę w towarzystwie. – Lirr zrobiła głupią minę, udając obrzydzenie księżnej.

Rosmerta nie wydawała się ani odrobinę rozbawiona.

– Jest akurat na tyle ważny, że księżna kazała mi dopilnować, byś pojawiła się na uczcie. – Ostrzegawczo wysunęła w jej stronę wskazujący palec. – Tym razem punktualnie i bez żadnych głupich niespodzianek. Bogowie tylko wiedzą, dlaczego tak uparcie

ją drażnisz – dodała z naciskiem i potrząsnęła ścierką dla lepszego efektu. – Chcesz znowu przez dwa tygodnie tkwić zamknięta w wieży?

– Co ona znowu knuje? – Lirr jęknęła, ignorując wspomnienie jej ostatniego aresztu domowego i wyobrażając sobie zamiast tego torturę jednej z tych nadętych formalnych kolacji. – Zamierza rzucić mnie na pożarcie temu swojemu medykowi? Pozwolić mu przetestować na mnie jego mikstury? A może chodzi tylko o to, że jak zwykle chce ze mnie zrobić egzotyczną atrakcję wieczoru i żywy dowód na przymierze z korsarzami?

Ochmistrzyni spojrzała na nią z ukosa, biorąc się za sortowanie pomieszanych ziół. Wyraźnie zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Podobno on sam o ciebie pytał – wyjaśniła przyciszonym głosem.

Lirr podskoczyła w miejscu, tknięta nagłym niepokojem.

– Jak to... Już tu jest? – Miała zdecydowanie złe przeczucia. Dlaczego jakiś wynajęty szarlatan, do tego południowiec i bywalec dworu, miałby się nią zainteresować?

Rosmerta nie odrywała wzroku od zielonego bukietu, rozdzielając wprawnie różne gatunki ziół od zupełnie bezużytecznych kwiatów, zebranych przez Lirr po drodze.

– Kogga z Daxos o świcie zawinęła do portu – bąknęła pod nosem. – Gdybyś nie była cały dzień taka zajęta uganianiem się za Caelem, pewnie nawet już byś go poznała.

Lirr pomyślała od razu, że jaśnie pan medyk pewnie nasłuchał się portowych opowieści o dziwnej dziewczynie wyłowionej z morza. „To zwykła ciekawość" – stwierdziła i odetchnęła, starając się uspokoić, ale nie potrafiła.

– Co dokładnie mówił? Czego chciał? – naciskała. Położyła dłoń na chudym, kościstym ramieniu Rosmerty, zmuszając ją, żeby popatrzyła jej w oczy.

– Nie wiem, dziecko. – Ochmistrzyni pokręciła z dezaprobatą głową, w jej spojrzeniu była troska. – Ale uważaj na niego i, na litość bogów, powstrzymaj dziś ten swój nieposkromiony język, Żadnych przekleństw! Żadnych opowieści o piratach! Zachowuj się jak trzeba!

Zanim Lirr zdążyła dopytać, co właściwie Rosmerta miała na myśli, przestrzegając ją przed Viorelem, kobieta wzięła do ręki jeden z jej warkoczyków i podniosła do oczu jego końcówkę z wetkniętym kruczym piórem. Jej wyraz twarzy zmienił się, zastygł w zamyśleniu, gdy, obracając pióro, dostrzegła kobaltowy połysk odbijający popołudniowe słońce.

– A co to takiego? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Piękne, prawda? – Lirr uśmiechnęła się niepewnie, ale w duchu przeklęła spostrzegawczość ochmistrzyni i ze zniecierpliwieniem wyciągnęła warkoczyk z jej palców. Rosmerta zdecydowanie zbyt często ingerowała ostatnio w jej prywatność.

– Krucze pióro. Piękne… Oczywiście, że piękne, ale i niebezpieczne. To rzadki ptak, zwłaszcza w naszych stronach. Niektórzy mówią, że jest posłańcem bogów, ale śmiertelnikom nie zwiastuje niczego dobrego. – Ochmistrzyni zamilkła i przez chwilę wydawała się błądzić myślami gdzieś daleko lub może raczej daleko w czasie. Przez moment wyglądała inaczej, starzej niż w rzeczywistości, na znieruchomiałej twarzy wyraźniej zarysowały się zmarszczki, a ciemnoszare oczy patrzyły w dal nieobecnym wzrokiem. Lirr odstawiła cicho miskę z rodzynkami. Nawet zajmująca się kuropatwami kucharka musiała poczuć nagłą zmianę atmosfery, bo zastygła i podniosła na nie pytający wzrok. Po chwili Rosmerta drgnęła lekko, jak wybudzona ze snu, i odruchowo poprawiła swoje srebrnoszare włosy upięte w wysoki kok spinką w kształcie muszli.

– Przeznaczenie ma krucze skrzydła – wyszeptała tak cicho, jakby bezwiednie mówiła do siebie, ale zaraz podniosła na Lirr

strapiony wzrok. – A ty przynosisz z lasu czarne pióro, akurat dziś... Akurat dziś. Głupia, głupia dziewczyna!

– Zabobony! – zaprotestowała natychmiast Lirr, wzruszając ramionami. – Sama kiedyś mówiłaś, że nie można poddawać się strachowi i aby go pokonać, trzeba się z nim zaprzyjaźnić. – Wzięła do ręki kosmyk z wetkniętym w niego piórem i obejrzała je z każdej strony. – A to tylko... pamiątka z pewnego wyjątkowego spotkania – uspokajała, ale Rosmerta nie przestawała kiwać z potępieniem głową. – Czy... według ciebie mam się go pozbyć? – zapytała w końcu cicho, szybko, sama zaskoczona nagłym impulsem. „To zły omen!" – Odezwało się w niej stare wspomnienie. Huk rozszalałego sztormu i odległe, naglące krakanie. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach jak wielki, niewidzialny pająk. – „Zły omen!".

– Na to już za późno, moja droga. – Ochmistrzyni uśmiechnęła się blado i usiadła ciężko przy dębowym stole, na którym nadal w nieładzie leżała reszta zebranych w lesie ziół. – Zresztą, pewne rzeczy w naszym życiu są nieuchronne. Nieważne, ile zakrętów jest na naszej ścieżce, wyznaczona droga i tak doprowadzi nas do celu, jeśli tylko bogowie sobie tego życzą.

– Nie wierzę w przeznaczenie, Ros. – Lirr wzięła gałązkę swojej ulubionej wonnej szałwii i przysunęła ją do nosa. – Nawet to o kruczych skrzydłach.

Rosmerta zupełnie niespodziewanie wybuchnęła gorzkim, lekko skrzeczącym śmiechem.

– Akurat ty, dziewczyno z morza, powinnaś być ostrożniejsza, jeżeli o nie chodzi!

Wyspa Mgieł
Copyright © Maria Zdybska
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie trzecie, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-814-6
ebook ISBN 978-83-7995-815-3

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Druga korekta: Paulina Kalinowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Ewelina Nawara
Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książkę i ebook najtaniej kupisz w MadBooks.pl

AMBASADORKI WYDAWNICTWA

Inanna

Czasami dwie dusze łączy
więź silniejsza niż śmierć.

#POLSKAFANTASTYKA
#YAFANTASY